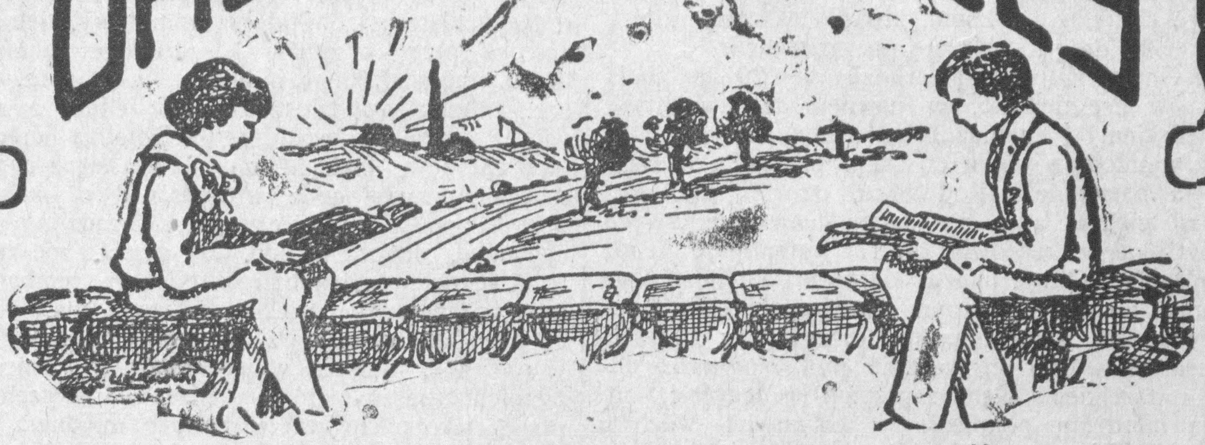
OPIEKUN MŁODZIEŻY



Bezpłatny dodatek do „Drwęcy“

Rok IV. Nowemiasto, dnia 15. lutego 1927. Nr. 7

Przybylski.

O my nie damy!

O, my nie damy dziedziny Piasta,
Ani wód Wisły, Warty i Niemna,
Bo święte dla nas te wioski — miasta,
I ta krwią naszą zbroczona ziemia.
Bo święte dla nas dziadów kurhany,
Te ciemne bory — te żyzne łany.
Więc z szablą w dłoni, dumni wołamy,
O, nigdy, nigdy my się nie damy.

O, my nie damy ojców swych wiary,
Co była gwiazdą w czasach niewoli.
Co nas uczyła znosić ofiary,
Wskazując świty jaśniejszej doli.
Dziś wrogom wiary — wrogom kościoła,
Trza przeciwstawić dumnie swe czoła.
Więc z krzyżem w ręku dumni wołamy,
„O wiary wydrzeć sobie nie damy“.

O my nie damy świętej miłości,
Gdyż ta do wielkich wiodła nas czynów.
Ta nam dodała siły — krewkości,
I dała zbierać laury wawrzynów.
Miłość narody wiedzie do chwały,
Z miłością ludy znoje przetrwały.
Z ręką na piersi dumni wołamy,
Miłości wydrzeć sobie nie damy.

Ks. Onufry Kopczyński.

W rocznicę 110-letnią, na wdzięczne wspomnienie potomności zasługuje zapoznać czytelników z kilku rysami z życia czcigodnego męża, którego imię nie może być obojętnem nikomu, ktokolwiek ceni mowę ojczystą, jako drogą spuściznę po przodkach.

Ks. Onufry Kopczyński urodził się 30 listopada 1735 r. w Czerniejewie, w dawnem województwie Gnieźnieńskiem z zamożnych i zacnych rodziców. Oddany w młodym wieku do szkół pijarskich w Warszawie, a następnie w Podoleńcu, dziwnie upodobał sobie w cichym a z wzniosłym zawodzie swych mistrzów i mając zaledwie lat 17 wstąpił do tegoż zgromadzenia. Odtąd nauka kierowana ku pożytkowi współbraci, stała się głównym celem jego życia. Ukochawszy całym sercem mowę ojczystą, z boleścią i oburzeniem widział jej skażenie pod wpływem obczyzny i wszelkiemi siłami zapragnął ją oczyścić, oddając ją młodemu pokoleniu w całym jej wdzięku i prostocie. W ;ego usta należałoby włożyć ten wiersz pełen znaczenia, nieodżałowanej pamięci Jachowicza, w którym tak przemawia do pysznego lingwisty:

„Dziesięc umiesz języków i cóż tam z tego.
Osiem ci z nich daruję, zdaj sprawę z własnego."

W tej myśli ks. Kopczyński, widząc smutną poniewierkę rodzinnego języka, napotykając niemal codziennie nowe błędy, jakie się do niego wkradały, napisał w r. 1808 dziełko p. t. „Poprawa błędów w ustnej i pisanej mowie ojczystej", które w owym czasie bardzo zbawienny wpływ wywarło na umysłach uczącej się młodzieży. Łatwo można sobie wyobrazić, jakim musiał być nauczycielem, mąż przejęty tak silnie miłością ogólnego dobra, starał się wpływać nietylko na poprawę języka ale i na rozszerzenie zasad religji i moralności, które powinny stanowić właściwą podstawę wychowania. Jego pióru zawdzięczamy gramatykę, w której powiedziawszy na początku, iż „Różnimy się ludzie od zwierząt mową", pierwszy podał nam sposób jak tego drogiego daru czysto i pożytecznie używać mamy.

W młodym jeszcze wieku zwiedził ks. Kopczyński Francję, Włochy i Niemcy jako towarzysz uproszony przez rodziców bogatego Antoniego Wisłowskiego. Widok obcych i bardziej oświeconych narodów, nie osłabił w nim jednak przywiązania do mowy i obyczajów ojczystych, którym prawie nie przestał nigdy z zapałem się poświęcać. Zasługi czcigodnego kapłana zostały stosownie ocenione przez króla Stanisława Augusta, który spostrzegł z zadowoleniem zadziwiające postępy młodzieży, korzystającej z prac jego, obdarzył go złotym medalem z napisem: „Merentibus". Medal ten w jakiś czas potem ofiarował ks. Kopczyński sławnemu doktorowi Walentemu Gagatkiewiczowi, za uratowanie osłabionego wiekiem i pracą wzroku, wraz z dziękczynnemi wierszami, zastosowanemi do tej okoliczności, lecz ten oceniwszy słowa wyżej złota, odesłał szanownemu starcowi drogie świadectwo jego zasługi. Świetniejszy atoli daleko zaszczyt prawie nad grobem uwieńczył pożyteczne życie ks. Kopczyńskiego, gdyż na rok przed zgonem, t. j. w roku 1815, otrzymał z rąk wdzięcznych współziomków, drugi medal złoty z napisem: „Za gramatykę języka polskiego", dzieło do którego sam najwięcej przywiązał wartości. Spłaciwszy tak zaszczytnie dług krajowi i Bogu, ks. Kopczyński zakończył życie w Warszawie dnia 14. lutego 1817 roku.

Rozmaitości.

Tak los chciał.

W życiu zdarzają się niekiedy fakty, które w powieści uważalibyśmy za nieprawdopodobne. Tego rodzaju historja, obfitująca w motywy, jak porwanie dziecka przez cyganów i szczęśliwe zakończenie w domu amerykańskiego miljonera, miała niedawno miejsce. Przed dwudziestu laty w jednej z rosyjskich wiosek obozowali cyganie. Czteroletnia córeczka ubogich chłopów, mała Masza, bawiła się z cygańskiemi dziećmi, a gdy obóz wywędrował z okolicy, wraz z nimi zginęła i dziewczynka... Urządzono pościg za cyganami, dogoniono ich, ale dziecka nie znaleziono. Rodzice dziewczynki byli w rozpaczy, tembardziej, że było to ich jedyne dziecko. Płynęły lata. Mniej więcej dwa lata temu, starzy wieśniacy, nie mogąc wyżyć w rodzinnej wiosce, wywędrowali do Ameryki. Tu cierpieli straszny głód i nędzę, aż wreszcie znaleźli pracę, jako posługacze w fabryce miljonera Webstera. Pewnego dnia pokojówka państwa Webster przyszła po coś do fabryki i ujrzawszy starą posługaczkę, była uderzona podobieństwem do rysów młodej i pięknej pani Webster. Po powrocie do domu opowiedziała ten dziwny wypadek miljonerowi. Webster wiedział o przeszłości swej ukochanej żony tylko tyle, że przybyła ona przed laty do Ameryki z rosyjską trupą teatralną, że była sierotą, że miała posadę sekretarki u jego przyjaciela i że poznawszy ją tam, pokochał i poślubił przed rokiem. Zawezwał więc natychmiast staruszków, kazał sobie opowiedzieć dzieje ich życia i z głębokiem wzruszeniem, zrozumiał, że ma przed sobą rodziców swej żony. Spytał staruszkę, czy poznałaby i teraz swe utracone dziecko.

— Ach z pewnością... odparła — widuję Maszę tak często we śnie... wyrosła, ale twarzyczka jej wciąż ta sama... Gdy pani Webster powróciła do domu z wizyty, mąż wyszedł jej na spotkanie i powiedział poważnie:

— Ktoś przyszedł do ciebie, Marjo! czeka obok...

Zdziwiona tonem męża, pani Webster otworzyła drzwi i ujrzała w przyległym pokoju parę ubogo ubranych staruszków.

Spojrzała pytająco na męża.

— Masza! Masza! — krzyknęła nagle staruszka i rzuciła się w objęcia wytwornej damy.

— Matko!...

Lata i ocean nie rozdzieliły na zawsze dziecka od rodziców... Tak bywa w życiu. Niekiedy...



Piękna szata zimowa w halach Tatrzańskich.

Jan Zaharjasiewicz.

CZERWONA CZAPKA.

POWIEŚĆ W SKRÓCENIU.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce potem przecież pan radca dowiedział się od bardzo życzliwego przyjaciela, że między studentami odkryto jakieś tajne stowarzyszenie i spisek, że Herman też do tego należy.

Szczęśliwy ojciec oniemiał.

— Co? mój syn, mój syn? — przemówił po dłuigiej chwili — mój syn miałby być tak głupim? nie, to nie może być, ja mu zaraz powiem, ja go zawołam...

Ledwie powstrzymał go przyjaciel, a po długiej, długiej naradzie postanowił pan radca nakoniec nic o tem wszystkiem Hermanowi nie mówić, wysłać go do Lwowa do szkół, a tam podobne głupstwa po głowach chodzić nie będą.

Tak się stało. Pożegnanie było czułe i z rodzicami i z panną Miną. Herman odjechał do Lwowa i życie pana radcy szło dawnym trybem.

11.

Przeszły lata prędko bez zmian gwałtownych. Herman przyjeżdżał do rodziców na święta, na wakacje odwiedzał wtedy pannę Minę, był uprzejmy i miły, ale co zastanawiało szczególnie rodziców, nie miał tej młodocianej, szczerej wesołości, jaka powinna w jego wieku i położeniu się okazywać. Młody i piękny akademik był więcej zamyślonym jak poważnym, melancholijnym zakochanym, a czasem, czasem jakoś tak wyraził się, takie zdanie wypowiedział, że ojciec i inni zdumiewali się, skąd on, tak młody może podobne mieć myśli i zapatrywania.

Raz, gdy był u rodziców, przyszło nawet do wyraźnego wystąpienia. Ojciec wpadł w dobry humor po obiedzie, zatem i począł przypominać Hermankowi niektóre jego figle z lat dziecinnych. Z kolei wspominał o czerwonej czapce i o tem, jak go chłopcy obrali dowódcą, a urwisz mały w tej czerwonej czapce doskonale komenderował oddziałem żołnierzy. Matka śmiała się serdecznie przy tem opowiadaniu, a wreszcie rzekła:

— Czekaj, pokażę ci tę czapkę czerwoną, którą tyś się bawił, nie wiedząc, że ona nam szczęście przyniosła.

Hermanek powstał i rzekł z chmurnym wyrazem twarzy:

— Nie, nie! proszę mi tej czapki nie pokazywać, nie chcę jej widzieć!

— Cóż ci się stało? przecież dawniej lubiałeś tę czapkę... dziś nawet nie chcesz jej widzieć? — spytał radzca.

Herman potarł ręką po czole.

— Dawniej byłem dzieckiem, dziś innym jestem człowiekiem... to przykre wspomnienie — rzekł po chwili.

Radca i żona jego spojrzeli po sobie. Herman mówił dalej:

— Mój ojcze! są czasem zdarzenia takie, które pociągają za sobą wielkie a nieszczęsne wypadki — dziś — zrozumiałem co się działo w roku 1849 — i czerwona czapka u ciebie ojcze, bolesną jest dla mnie pamiątką...

— Cóż myślisz? co mówisz? — zawołał radca zirytowany — przecież nic innego nie robiłem, jak tylko to, do czego mnie służba powoływała.

— Wiem, że tak — odrzekł Herman — ale są rzeczy, które chociaż wobec służby są usprawiedliwione, wobec praw moralnych i szlachetnych uczuć uchodzą za czyny niedobre.

Radca trząsł się... gniewał, mówił jeszcze długo, ale Herman już milczał i tylko smutnie od czasu do czasu westchnął.

Biedny chłopak, on wychował się i wzrósł na polskiej ziemi, on wiedział, ile ona krzywdy i prześladowania już zniosła, on też rozumiał, czem ojciec jego był, tutaj więc ciężko mu było na duszy i myśl jakby ołowianym ciężarem gnieciona, zda się opadała na siłach.

12.

Nad polską ziemią czarne chmury nieszczęść i prześladowań ciągły jakby kirem żałoby zasłane. Ofiar i nieszczęść liczba nieprzeliczona mnożyła się, zda się, z każdą chwilą i z każdym dniem. Po długich latach smutku i bólu, znów poczęły być serca goręcej, znów iskra nadziei roztliła się.

Nadeszły lata 1861, 62 i 63. W Warszawie wrzało i kipiało, krew się lała, modły ku niebu płynęły i naród za broń chwytał, bo dłużej cierpieć trudno mu było.

Hasła wolności rozbrzmiały wszędzie i wszędzie znalazły serca gorące, zdolne do poświęceń i ofiar — wszędzie młodzież myślała o powstaniu i polepszeniu doli narodu.

Młodzież we Lwowie nie została w tyle. Pozawiązywały się spiski i stowarzyszenia, radzono, radzono, aż wreszcie i władze zaczęły powoli domyślać się i dowiadywać o tem, co się dzieje. Jeden z przyjaciół pana radcy, powiadomił też go, że Herman między gorącą patrjotyczną młodzieżą czynny udział bierze i należy do tajnych stowarzyszeń.

Radca z początku nie chciał wierzyć temu, potem ręce załamał, narzekał, płakał. Co robić? co robić?

— Najlepiej pojechać do Lwowa, zbadać sprawę jak jest — i wziąć stamtąd syna. Tu na boku w ciszy zapomni o tem i wylecą mu z głowy niepotrzebne mrzonki. — Tak radził przyjaciel, pan radca posłuchał i wybrał się do Lwowa z ciężkim smutkiem w sercu.

Kazał się zawieźć do hotelu i postanowił nie dawać nic znać synowi o sobie, lecz nieznacznie i potajemnie go śledzić. Ledwie coś przekąsił w restauracji na kolację, okrył się płaszczem i wyszedł w stronę gdzie mieszkał Herman. Obaczył w oknie jego pokoju światło. Przemyśliwał długo, jakimby to sposobem podpatrzyć, co robi, i wreszcie wynalazł na to sposób. Naprzeciw okna Hermana w drugiej kamienicy były okna korytarza, tam poszedł radca i przyłożywszy twarz do szyby, śledził syna.

Herman siedział przy stole i nic nie robił. W ruchu jego i wyrazie twarzy widać było, że jest bardzo przygnębiony i smutny. Długi, długi czas siedział nieruchomy przy stole, wreszcie powstał, potarł ręką czoło — zarzucił płaszcz na siebie i wyszedł spiesznie.

Ojciec śledzić go szedł zdala.

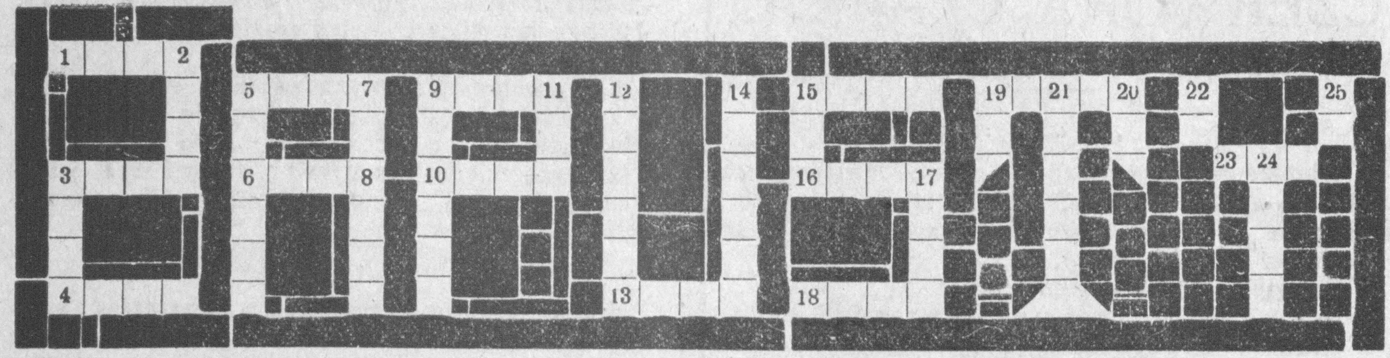
Herman zatrzymał się przed nową, piękną kamienicą i wpatrywał uważnie w jej okna. Ile razy na tej firanki białej zarysował się cień twarzy młodej kobiety Herman podnosił się, wzrok natężał, drżał... Stał długo, aż wreszcie obrócił się i powoli jakby chory lub osłabiony powlókł się do domu. (C. d. n.)

Pierwsza jest sprawiedliwość, dobroczynność potem;
Jednej łzy okrzywdzonej nie opłacisz złotem.

Stanisław Jachowicz.

Łamigłówka krzyżykowa

ał. M. Płotkówna z Mikołajk.



Poziomo.

1. Wulkan.
3. Sala w obcym języku,
4. Miasto w Palestynie.
5. Najbliższa gwiazda w konstelacji centrum.
6. Część domu.
9. Inaczej umartwienie ciała.
10. Wyspa.
13. Metal podobny barwą do srebra.
15. Każdy człowiek posiada.
16. Instrument muzyczny u hindusów,
18. Góra w Indjach.
19. Święto żydowskie.
23. Zapłata, po angielsku.

Pionowo.

2, Imię męskie w St. Testamencie.
3. Ptak drapieżny.
5. Córka Gedymina.
7. Do, po łacinie.
8. Inaczej ukłon, uszanowanie.
9. Rodzaj pieczywa.
11. Zwierzę dzikie.
12. Miasteczko na Wołyniu.
14. Pustynia.
15. Mieszanina powietrza (wspak.)
17. Minerał.
19. Przyimek.
20. Wykrzyknik.
21, Przybór do pisania.
22. Przyimek po łacinie.
24. Imię męskie.
25. Nazwa niektórych skał okruchowych.

Zagadka

ułożył „Arab" z Nowegomiasta.

Jakie miasto w Rosji jest zatoką, rzeką i jeziorem.

Rozwiązanie łamigłówki z Nr. 1.

1. Ateny	4. Maczuga	7. Niger
2. Dżuma	5. Alojzy	8. Y
3. Abisynja	6. Skafander	9. Kalkuta

A d a m A s n y k.

nadesłali: „Arab", „Awjatorka", „Balladyna" z Nowegomiasta, „Gazella" z Wąbrzeźna, „Kirgiz" z pod Lubawy, „Pogromca boa z Australji", „Wilk morski" z Nowegomiasta.

Rozwiązanie łamigłówki zgłoskowej z Nr. 1.

1. Koło	3. Indjanie	5. Indyk
2. Mendel	4. Czerwień	6. Cykuta

K m i c i c — O l e ń k a

nadesłali: „Balladyna" z Nowegomiasta, „Jagienka" z Wielk. Bałówek, „Liljana" z Nowegomiasta, „Pogromca boa z Australji", „Wilk morski" z Nowegomiasta.

Rozwiązanie pytania geograficznego z Nr. 1.

K o ł o b r z e g

nadesłali: „Arab", „Awjatorka", „Balladyna", „Liljana", „Wilk morski" z Nowegomiasta, „Zula" z Lubawy.

— Jakie jest najsilniejsze państwo na całym świecie?
— Księstwo Monaco, bo wszyscy ci, którzy udają się tam na wyprawę, wracają zawsze mocno pobici.

Grzeczny Jaś.

Jaś wie, że przy obiedzie rozmawiać nie można i że nie należy przeszkadzać starszym w rozmowie. Przyszedłszy raz do stołu, Jaś pyta cichutko mamy:

— Mamo, czy mogę coś powiedzieć?

— Mówiłam ci Jasiu, tyle razy, że przy stole nic się nie opowiada.

— Ale mamusiu, tylko jedno słóweczko?

— Ani słóweczka! widzisz, że teraz rozmawiają starsi.

Jaś siada cichutko i tylko od czasu do czasu rzuca oczyma ku drzwiom, obiad zbliża się ku końcowi, a i wreszcie zaciekawiona mama pyta:

— No, moje dziecko, coś takiego chciał powiedzieć?

— Chciałem tylko powiedzieć, że w pokoju z wanną pękła rura i woda się już leje przez drzwi.,.

Wszyscy zrywają się od stołu, jak wysadzeni sprężyną, i na odchodnem rzucają grzecznemu Jasiowi:

— A czemużeś od razu nie mówił tego, smarkaczu!...

Taka to sprawiedliwość.

Chłop spotyka w drodze żyda:

— Mośku — woła — a nie wieta, daleko jeszcze będzie do Wólki?

Żyd zatrzymuje się i obrzuca chłopa ciekawem okiem.

— A skąd wy wiecie gospodarzu, że ja Mosiek?

— A bo to trudno wiedzieć? Żyd to jušci Mosiek. Zgadłem i tylo!

— A no, kiedyście zgadli, jak jo się nazywom, to zgadnijcie teraz sobie, jak daleko do Wólki, i poszedł swoją drogą.

U cyrulika wiejskiego.

— Ile kosztuje wyrwanie zęba?
— Dwa złote za godzinę...